

III. MISTRZ JAN Z KOLINA

Prastare Żory od dawna posiadały prawo miecza, znaczyło to, że za zgodą księcia sąd miejski mógł karać śmiercią, ale jak dotąd, nie było takiej potrzeby i oszczędni rajcy nie przewidywali, że w najbliższym czasie trzeba będzie obsadzić stanowisko kata, który za swe nieprzyjemne usługi powinien być sowicie wynagradzany, zwłaszcza, że w ostateczności można było wypożyczyć „mistrza” z miasta Cieszyna.

Znaleźli się jednak i tacy, którzy twierdzili, że w obecnej sytuacji cierpi prestiż bogatego przecież miasta, dlatego, choć z początku niezbyt chętnie, zaczęto się rozglądać za kimś odpowiednim na to stanowisko. Musiał to być człowiek obcy i biegły w swoim fachu. Za namową cieszyńskiego kata postanowiono przyjąć mistrza Jana z Kolina. Ten młody, rostry i zawsze czarno odziany Czech pochodził z rodziny, która parała się tym rzemiosłem od pokoleń i co najważniejsze legitymował się giejtem mistrzowskim samego Praskiego Miasta. Ponadto praktykował już w kilku miastach na Morawach. Zanim pojawił się w Żorach obiecywano mu „złote góry”, ale kiedy już przybył, z ich realizacją były trudności. Nie czekał na niego przyrzeczony dom. Jan sam musiał go zbudować na niewielkiej parceli pod murem miejskim, położonej niedaleko Dolnej Bramy. A i tak dawano mu do zrozumienia, że powinien się cieszyć, bo gdzie indziej byłby zmuszony zamieszkać poza murami. Pomimo, że ciężko znosił pogardę, nikt nie słyszał od niego słowa skargi. Zakasał rękawy i w ciągu trzech miesięcy chałupa nakryta, niespotykanym w okolicy, bardzo stromym dachem była gotowa. Przed zimą wstawiono do niej maleńkie okna z drewnianymi okiennicami i solidne drzwi. Małą stajenkę i spichrz dobudował mistrz dopiero wiosną następnego roku, kiedy przydzielono mu kawałek pola za Dolną Bramą. Mając jako takie lokum postanowił się ożenić. Wybór jego padł na młodą Morawiankę, Katarzynę z Bożetina, wiadomo, koszula milsza ciału! Ciotka Anna przeciwna była takiemu obrotowi sprawy i nie wyrażała na ten mariaż zgody, więc Jan zwrócił się do braci dziewczyny, a ci oddali mu ją z wielką chęcią. Sama zainteresowana nie miała nic przeciwko zostaniu „panią mistrzową”, gdyż w tamtych czasach kat był takim samym rzemieślnikiem jak piekarz czy szewc. W niedługo po ich ślubie ciotka Anna mocno się „rozniemogła” i w krótkim czasie zmarła, zostawiając Katarzynie całą swoją schedę i starą służącą Maryjanę. Jan jednak nigdy nie dochodził posagu żony, a młodzi Bożetiniowie rządzili się w nim, jak chcieli. Co prawda przez jakiś czas szeptano, że ktoś zapewne pomógł opuścić Annie ten ziemski padół, ale z czasem ludzie doszli do wniosku, że zmarła ze starości. Katarzyna zamieszkała w małym domku pod murami w pobliżu sędziwego kościółka ukrytego w cieniu wiekowych lip. Początkowo bolał ją zakaz chodzenia na nabożeństwa do dużego kościoła (widać mieszczanie nie chcieli, by Jan zaglądał do ich sumień!), ale z czasem stwierdziła, że o wiele bardziej woli małą świątynkę, gdzie przybyłe na niedzielną mszę okoliczne chłopstwo patrzy na nią z podziwem, niż dwuznaczne spojrzenia i szepty bogatych mieszczan.

Młoda żona nigdy nie wtrącała się w sprawy męża, ba, nawet wolała o nich nie wiedzieć. Nie od razu też było jej dane zakosztować macierzyństwa. Dwóch ich synów zmarło we wczesnym niemowlęctwie. Jan wystarał się o dwie kamienne płyty z imionami chłopców, które położono w miejscu ich pochówku. Był to zwyczaj nieznan w okolicy, bo ludzi chowano wtenczas po prostu na kościelnym placu i nie usypywano kopczyków ziemi, jak czyni się to dzisiaj, jedynie na kościelnej podmurówce rzeźbiono w przypadku mężczyzny otwór okrągły a dla kobiety – kreskę.

W czwartym roku małżeństwa urodziła się Barbara. To był ciężki rok! Latem zaczęło grasować po okolicznych wsiach morowe powietrze, ludzie marli jak muchy. Mieszczanie od razu zamknęli bramy i zapewne dzięki temu i pomocy świętej patronki, w mieście nikt nie zachorował. Kiedy Katarzyna powiła dziewczynkę, Jan nie sprzeciwił się, gdy postanowiła nadać jej imię, które mała sama sobie na świat przyniosła, choć on sam z jakiegoś

nieznanego powodu imienia Barbara zdawał się nie lubić. Jednak w pierwszą rocznicę urodzin подарował córce srebrny medalik z wizerunkiem patronki i jej imieniem. Ciemnowłosa Barbarka rosła jak na drożdżach. Często widywano ją z matką lub starą Maryjanką w okolicy starego kościółka lub na łąkach tuż za bramą miejską. Mała zanosila potem bukietki polnego kwiecica na groby braciszków, których nie miała okazji poznać. Kiedy jednak w okolicy zaczęły pojawiać się gromady dziwnych, obszarpanych wędrowców Jan zabronił im wypraw poza mury. Poruszenie było jednak chwilowe i już następnej wiosny wszystko wróciło do normy.

Mistrz Jan zachodził czasem do karczmy, ale prawie z nikim nie rozmawiał. Zagadnięty, dawał się niekiedy wciągnąć w rozmowę o sprawach błażych, jak pogoda, żniwa czy odwieczne utyskiwania na temat marnej jakości żorskiego piwa.

Miejscowi niewiele wiedzieli o jego przeszłości, ani nie mieli pojęcia, co robił na co dzień w podziemiach ratusza. Jedynie sługa więzienny Bartoch zaobserwował, że Jan znika na długie godziny w małej izdebce za salą tortur. Pewnego razu przez szparę w uchylonych drzwiach zobaczył, że stał tam stół na którym znajdowały się gruba księga i zapalony kaganek, ale jego nikt o to nie pytał, więc swoją wiedzę zachował dla siebie.

Przez większość czasu, jaki kat spędził w Żorach, właściwie był bezrobotny, bo jak dotąd nie trafiła mu się żadna „grubsza” sprawa, a opornych chłopów zakuwali w dyby pacholkiwie miejscy. Rzadko skazywano też ludzi na chłostę. Wtedy Jan wysługiwał się drabem Barankiem, który doskonale potrafił bić do krwi i robił to z wielką przyjemnością.

Szło już na piętnasty rok Janowej służby w żorskim grodzie, kiedy w okolicy zaczęli grasować zbójcy. Mieszczanie próbowali różnych zasadzek, ale oni zawsze wymykali się z pułapki, jak by ktoś ich informował o poczynaniach strony przeciwnej. Podejrzenie padło na młodych Bożetynów, bo tylko oni docierali ze swymi wozami do miasta bez szwanku. Ci bronili się, jak umieli, tłumacząc, że zbójcy ich nie atakują, bo jadą wielką gromadą. Niby nic nikt nie mówił głośno, ale po cichu ludzie im jednak nie dowierzali.

Późną jesienią w żorskich lasach doszło do potyczki między zbójcami a gromadą kupców podążających z Krakowa do Wrocławia, w której przywódca bandy został ranny, a jego kompani się rozpiechli. Zawleczono więc opryszka do żorskiego grodu i zamknięto w lochu. Kiedy trochę wydobrał, zapadła decyzja, że trzeba go stracić. Niektórzy mieszczanie już cieszyli się na makabryczne widowisko, ale najpierw delikwent powinien być zostać poddany przesłuchaniu przy pomocy tortur. Jan wiedział, że musi stanąć na wysokości zadania, dlatego osobiście dopilnował przygotowań w izbie kaźni. Przy pomocy miechów rozpalil nie używane od lat palenisko, obok którego na ścianie wisiały przerażająco wielkie, żelazne obcęgi, dziwne kolczaste obręcze różnej wielkości i potężne młoty. Kiedy pacholkiwie przywiązali opierającego się zbroja do stołu magdeburskiego, kat pozostał z nim sam. Twierdził bowiem, że swoją pracę zawsze wykonuje bez świadków. Za chwilę z sali zaczęły dochodzić straszliwe jęki, krzyki i przekleństwa. Trwało to parę godzin. W krótkim czasie rynek opustoszał, a nieliczni przechodnie, którym droga wypadła koło ratusza zatykali uszy i przebiegali chyłkiem.

Dopiero przed zachodem słońca w drzwiach sali kaźni pojawił się spocony i mocno zmęczony mistrz. Poprosił Bartocha o wiadro wody, potem o drugie. Cichutki jęk dochodzący zza drzwi potwierdzał, że zbroja jeszcze żyje, wtedy mistrz Jan zamknął od zewnątrz drzwi na żelazną sztabę, mówiąc posługaczowi, że pracę dokończy jutro.

Koło północy mieszkającego w ratuszowej przybudówce Bartocha zbudziły najpierw jakieś szelesty, a potem szmer rozmów. Posługacz wołał się nawet nie domyślać skąd pochodziły, dlatego następnego dnia wezwany przed oblicze burmistrza stwierdził, że niczego nie słyszał. Nie wspomniał też, że o świcie widział mistrza Jana krążącego po sali tortur z wiadrem krwi, którą rozlewał w różnych miejscach. Zobaczywszy Bartocha kat podniósł lewą rękę na

wysokość szyi, wykonał nią szybki poprzeczny ruch i położył palec na ustach. Sługa więzienny w mig pojął to ostrzeżenie.

Rankiem okazało się bowiem, że więzień zniknął! Uciekł czy został uprowadzony? – zastanawiali się mieszczenie, ale koło południa sprawa się wyjaśniła. Mocno zmasakrowane zwłoki pływały w fosie niedaleko bocznej bramki. Wezwano natychmiast mistrza i posługacza, bo tylko oni mogli rozpoznać więźnia. Bartochowi wydawało się, że przy oględzinach ciała na posępnej twarzy Jana przez moment zagościło zdziwienie, a potem z jego ust wydarło się ciche westchnienie.

Następnego dnia zbójcę pochowano za miastem na wzgórzu obok kaplicy świętej Barbary. W niedługo po tym wydarzeniu nastąpiły jesienne słoty, a potem sroga zima. Tęgie mrozy przyszły wcześniej niż zwykle. Ludzie dużo czasu spędzali w domach. Mała Barbarka nudziła się w towarzystwie matki i Maryjanki, dlatego ojciec chcąc zrobić przyjemność córce przyniósł jej szczeniaka. Dzięki zwierzątku dom pod murami ożył. Było w nim słychać śmiech, głośne okrzyki, szczekanie psa i tupotanie stóp. Któregoś ranka psiak wybiegł z izby do sieni a potem na dwór. Nie wiele myśląc, Barbarka rzuciła się za nim w pościg.

-Jeszcze się nom dziecina wyziombi! – krzyknęła służąca do pani Katarzyny i obie kobiety pobiegly za dziewczynką. Kiedy po chwili wróciły, Katarzynę chwyciły dreszcze. Maryjanka zagrzała koziego mleka i położyła ją do łoża, ale koło południa pani poczuła się lepiej i wzięła się ochoczo do pracy. Niepokój Maryjanki wzbudziło jednak jej nadmierne ożywienie, zaczerwieniona twarz i błyszczące oczy. Wieczorem Katarzyna dostała wysokiej gorączki. Pomimo, że Jan poił ją rozmaitymi odwarami, nie było poprawy. Podczas choroby matki Barbarka siedziała z pieskiem w komórce, obawiając nawinąć się ojcu na oczy, by ten w przyływie złości nie skrzywdził jej pupila, ale Jan nie zwracał na nią uwagi, tak był zajęty chorą, która majaczyła przez czwartą noc z rzędu. Z urywanych zdań można było się domyślić, że wspomina swoje dzieciństwo i młodość, bo często wołała swoją panią matkę, a potem Jana. Piątego wieczoru gorączka opadła, pani Katarzyna zachowywała się całkiem przytomnie, poprosiła nawet o jedzenie, ale koło północy jej ręce zaczęły błaznić po okrywającej ją pierzynie. Dwie godziny później mistrz Jan obudził córkę, i nakazał jej pożegnać się z matką.

Katarzyna odeszła spokojnie nad ranem. W domku pod murami zapanowała żałoba. Dziewczynka tęskniła za matką, ale była jeszcze stara Maryjanka, którą znała od niemowlęstwa. Barbarka pozostawała głównie pod jej opieką, bo ojciec poświęcał córce niewiele czasu. Nie rozpaczał, co prawda, ale coraz częściej zamykał się wieczorami w swojej izbie, a w ciągu dnia zniknął w komórce pod ratuszem. Wychudł bardzo i sposępniał a jego czarna kapota wisiała na nim, jak na strachu na wróble. Któregoś wieczoru pijany Baranek zastąpił Janowi drogę i zaczął się z niego naśmiewać, wystarczył jednak jeden ruch mistrza i zwalista postać osiłka legła u jego nóg. Baranek nie przyznałby się zapewne nikomu do porażki, ale byli świadkowie, równie pijani jak on sam, ale nie na tyle głupi, by oskarżyć kata o czary, bo takie pomówienia równie często źle się kończyły dla oskarżonego, jak i świadków. Być może właśnie to wydarzenie było przyczyną, że z czasem Jana zaczęto w mieście uważać za alchemika, czyli coś pośredniego między naukowcem a czarnoksiężnikiem. Szeptano na ucho, że w swojej izbie pracuje wieczorami nad uzyskaniem „wody życia”, a w podziemiach ratusza kroi ciała zmarłych, by poznać tajemnicę śmierci, ale tak naprawdę, co robił mistrz Jan nie wiedział nikt, nawet jego córka.